



Nr. 53. *Z dnia 4 grudnia 1904 r.*

Zakopane w Sejmie.

Sprawozdanie Wydziału krajowego w sprawie administracji Zakopanego i wniosku posła dra Rutowskiego o nadanie Zakopanemu osobnego statutu opracowała komisja gminna i przedstawiła swe wnioski na sesji sejmowej 20-go października b. r. przez usta swego referenta posła Bujnowskiego. Nad niemi wywiązała się szeroka dyskusja, a pierwszy zabrał głos poseł Piotr Górski.

Skorzystał ze sposobności i wytknął Sejmowi, że reprezentacja kraju jest główną, jedyną przyczyną złych stosunków administracyjnych nietylko w Zakopanem, lecz wszędzie w naszym kraju, bo wadliwa organizacja naszego ustroju autonomicznego od dołu do góry nie może się doczekać w Sejmie poprawy a wniosek nadania nowej ustawy gminnej krajowi, wypracowany przed kilku laty przez p. Górskiego, leży zapomniany w archiwum Wydziału krajowego, bo zapatrywań wnioskodawcy pod tym względem mało kto w Izbie podziela, a najmniej powołane do tego czynniki. Pan poseł nie może pogodzić uwag Wydziału krajowego, że naczelnik gminy i rada gminna w Zakopanem administrują gminą wzorowo, podczas, gdy „utalentowany“ pisarz p. St. Witkiewicz nazwał tę administrację „bagnem“. Pan Poseł nie przypuszcza, aby „utalentowany“ pisarz napisał nieprawdę, chętniej przypisuje pomyłkę Wydziałowi krajowemu, bo tenże tak w sprawach Zakopanego, jak Borysławia i innych nie wychodzi poza pewien szablon rutyny, nigdzie nie dąży do prawdziwej zmiany stosunków na lepsze, brak mu wszędzie inicjatywy, a nawet myśli odzwierciadlającej choćby poglądy nauki zachodnio-europejskiej na stosunki i potrzeby autonomiczne. Cała praca Wydziału krajowego nad poprawą autonomji krajowej ogranicza się tylko do pewnych kierunków, które w pewnych sferach dziennikarskich uchodzą za postępowe.

Surowa krytyka p. posła Górskiego nie znalazła oklasku w Izbie.

Pierwszy po nim zabrał głos p. Stapiński i przemówił w te słowa: „Wysoka Izbo! Należę do rzędu tych, którzy na miejscu, w Zakopanem, nieraz, nie dwa razy, ale kilkakrotnie starali się poinformować o faktycznym stanie rzeczy, i to poinformować się niejednostronnie, ale wszechstronnie. Informowałem się mianowicie zarówno u zarządu gminy, jak u włościan, zadowolonych i niezadowolonych z tego zarządu, u członków stacji klimatycznej, jak wreszcie u miejscowej inteligencji, mieszkającej w Zakopanem, która wiele hałasu o stanie rzeczy w Zakopanem robi i kłopota Wydziałowi krajowemu i w ogóle społeczeństwu polskiemu przysparza.

Na podstawie tych indagacji, aczkolwiek nie powołany do obrony Wydziału krajowego, bo Wydział krajowy ma innych obrońców, muszę powiedzieć, że gdyby Wydział krajowy w innych sprawach miał tyle win i przewinień, ile za swe stanowisko w sprawie Zakopanego, tobym zawsze z czystem sumieniem dla tego Wydziału krajowego wotował, dlatego, bo faktycznie w Zakopanem ani nic strasznego, ani nic złego się nie dzieje, nie ma tam ani morowego powietrza, ani zatrutej wody, ani tych wszystkich rzeczy, które zdaniem niektórych ludzi i także zdaniem przedmowcy p. Górskiego robią z Zakopanego „bagno“.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 4 grudnia 1904 r.

Te wszystkie rzeczy krystalizują się, że tak powiem, w chorych mózgach tych, którzy przyjechali do Zakopanego na kurację, a którzy patrząc przez pryzmat swego chorego organizmu, chcieliby, ażeby przez ten pryzmat patrzali także inni. Faktycznie jednak zdrowy człowiek, skoro się tylko popatrzył na wszystko, powinien powiedzieć, że są w błędzie, że nie potrzeba Wydziału krajowego, ani społeczeństwa alarmować, jakoby w tem Zakopanem było rzeczywiście jakieś bagno; ono na nazwę bagna absolutnie nie zasługuje. Powiem Panom, do jakiego stopnia dochodzi już w Zakopanem ostracyzm, przeczulone poczucie i żądanie ulepszeń. Otóż przedstawiono mnie tam, że woda obecnie nie jest dobrą. Ależ woda nie jest gorszą od tej, jaka była przed 10 laty. Przypuszczam, że się jej składniki nie zmieniły.

W jakim stopniu rygor policyjny przybiera w Zakopanem groźne rozmiary, przytoczę jeden przykład:

Pewien właściciel domu w Zakopanem, przywiózłszy wiktuały z gospodarstwa, położonego poza tą willą, do domu w Zakopanem, potrzebując wyładowywać te towary, musiał z końmi na podwórku stanąć i popełnił straszną zbrodnię, że dał koniom siana. Za to, że ośmielił się zatrzymać z wózkiem na własnym podwórku obok willi, za to aresztuje go policjant, rozpoczęto dochodzenia przeciwko niemu, posypały się wezwania od stacji klimatycznej i od urzędu gminnego — jednem słowem, piekło.

Gdzie jest tego rodzaju przeczulenie, tam, gdybyśmy chcieli pójść tak daleko, ażeby zadowolić tych, którzy są autorami nazwy bagna, musielibyśmy w końcu wywłaszczyć wszystkich obecnych właścicieli Zakopanego; musielibyśmy poprostu wykupić wszystkie wille od gospodarzy, którzy w interesie swoim starają się o utrzymanie porządku, bo temu ludowi w Zakopanem nie można robić zarzutu, jakoby swego interesu nie rozumiał. Rozumie on doskonale swój interes i stara się w myśl przysłowia: „według stawu grobla“ wszystko czynić, ażeby tym wszystkim wymaganiom sprostać.

Gdybyśmy żądali, ażeby ten lud jeszcze w większym stopniu sprostał tym zadaniom, to musielibyśmy poprostu wywłaszczyć obecnych właścicieli will. A na czyją korzyść przeprowadzonoby to wywłaszczenie? Czy wyszłoby to na dobre Zakopanemu, pozwolę sobie bardzo a bardzo powątpiewać. Jestem przekonany, że nikt bardziej nie kocha Zakopanego, jak sam góral; tak kochać nie potrafi żaden z tych z Krakowa, czy z Warszawy, którzy przychodzą do Zakopanego drogą gustu i kaprysu, dziś są, a jutro ich niema.

Gdyby właśnie Zakopane było zdane na te prądy, to bardzo się obawiam, czy w krótkim czasie, zamiast obecnych willi, nie mielibyśmy chajderów.

Skoro z tego punktu widzenia patrzę, że ta przeczulona czułość może w konsekwencji doprowadzić aż do wywłaszczenia, to sądzę, że p. Górski i p. Rutowski, a w szczególności Wydział krajowy, właśnie odpowiadają za to, co będzie. Wydział krajowy wniosków tak lekko formułować i tak szybko decydować, co należy z tem Zakopanem robić, nie może. Wysłuchawszy opinji jednej i drugiej strony, pytałem się, o co im chodzi. Na to odpowiedzieli mi jedni: tamci zeszli się na takim a takim wiecu, taką a taką rzecz uchwalili, a nas wcale się nie pytali. Myśmy się zeszli na drugi wiec i uchwaliliśmy coś innego nie pytając się tamtych,

Skończyły się moje indagacje, żem powiedział tak: Ja z tego wszystkiego widzę, że wam tylko jednej rzeczy brakuje: aby was do kupy sprowadzić, ażeby się zeszli panowie wiecujący w Morskiem Oku z gospodarzami wiecującymi w urzędzie gminnym i razem obradowali, co być powinno, a co nie, a jestem przekonany, że do ładu dojdziecie. Z jednej i drugiej strony otrzymałem odpowiedź: Masz zupełną rację; trzeba nam się zejść na wiec wspólny.

Zakopane przyszło do skutku w tej formie, w jakiej dziś jest, w sposób nagły; urosło, że tak powiem, na drożdżach. Skomplikował się tu nagle odrazu interes najrozmaitszych przedsiębiorców, najróżniejszych ambicyj i chęci. Dotychczas jeszcze nie jest uporządkowaną kwestja, czy Zakopane ma być stacją klimatyczną dla suchotników, czy ma być miejscem odpoczynku dla spracowanych ludzi z miasta. Ci, którzy chcą z Zakopanego uczynić stację klimatyczną dla suchotników, chcą usunąć wszystkich zdrowych ludzi, a na odwrót ludzie zdrowi chcą, ażeby wszystkie urządzenia były zastosowane do potrzeb ludzi zdrowych.

Stąd oczywista pośród inteligencji rozłam co do zadania, a nieporozumienie i zgoda co do potrzeb i ważności Zakopanego.

Zdaniem mojem nieszczęścia niema. Zakopane wcale obrazu bagna nie przedstawia, aczkolwiek tyle zarzutów na gospodarkę gminną się posypało. Wiemy, że z Karlsbadem konkurować nie może: ale powiedzmy sobie prawdę. Zakopane może konkurować z każdem innem miejscem klimatycznem, czy to niemieckiem, czy szwajcarskiem czy włoskiem i nie potrzebujemy się wstydzić ani wmawiać w siebie, iżby ono coś takiego odstraszającego przedstawiało.

Nie znam porządków karlsbadzkich, ale znam kilkadziesiąt innych zagranicznych miejscowości w typie Zakopanego, no i przyznam się, że kiedy przyjechałem do Zakopanego, doznałem bardzo miłego rozczarowania, widziałem, że tam wcale nie ma żadnego bagna!

Otóż Wydział krajowy — mając na uwadze nie opinję, ale obowiązek do informowania się na miejscu wszechstronnie, słusznie powiada, że wszystkie reformy, jakie tam są pożądane, liczyć się jednak muszą z tem, że właścicieli górali nie można przecież z ich odwiecznych sadyb wyrzucać; bo taka operacja powinna się odbyć tak, ażeby pacjent przy niej nie umarł; a musiałaby być taką, gdyby się spełniło takie żądania, jakie stawia p. Górski i pewna część prasy.

Powiada p. Górski, że „tyle się pisze dziś o Zakopanem!“ A wiecie panowie, dlaczego się tyle pisze? Oto zgromadza się w Zakopanem w lecie wielka ilość ludzi inteligentnych, i ci właśnie, siedząc tam bezczynnie i nie mając co robić, ot piszą sobie o Zakopanem. (Wesołość). Ale z tego faktu, że się tyle o niem pisze, nie można jeszcze chyba wnioskować, że się mamy wstydzić Zakopanego. (Głosy: Bardzo słusznie).

Otóż uznając, że istotnie byłoby korzystniej, gdyby w Zakopanem tę troistość władzy jaśniej postawić, ażeby nie trzeba było chodzić od Annasza do Kajfasza, uczynić jednak należy już dziś zastrzeżenie, aby Wydział krajowy miał przy tem na oku przedewszystkiem prastare i odwieczne prawa ludu tamtejszego. Jeśli to będzie uwzględnione, to może aby się zgodzić na jakieś reformy.

Konstatuję więc wreszcie jeszcze raz: Nie mamy się czego wstydzić Zakopanego, bo przedstawia ono już dzisiaj obraz godny podziwu a nie bagna!

(C. d. n.).

KRONIKA.

Rada gminna uchwaliła 11 listopada budżet na rok 1905 i doszła w wydatkach do sumy 43.225 kor. 56 halerzy. Na pokrycie tych wydatków ma gmina tylko 26.156 kor. 51 hal. pewnych dochodów, resztę zaś, to jest 17.069 kor. 05 hal. muszą pokryć dodatki do podatków 50%.

Oprócz zwykłego budżetu przedstawił radzie naczelnik gminy dr. Chramiec na r. 1905 budżet nadzwyczajny, a mianowicie:

Rozchody:

na koszta budowy wodociągu	270·000 kor.
za plany i kosztorysy wodociągu	7.000 „
dotychczasowe wydatki wodociągowe	8.000 „
koszta pożyczki wodociągowej	3.000 „
kierownictwo budowy i komisje	10.000 „
fundusz na park publiczny	34.500 „
5/6 kosztów na grunt pod nową szkołę	25.000 „
5/6 „ na budowę i urządzenie szkoły ludowej	100.000 „
(1/6 pokryje obszar dworski)	
udział w Towarzystwie elektrycz.	40.000 „
nadzwyczajne wydatki	1.700 „
	500.000 kor

Te wydatki projektuje Naczelnik gminy pokryć pożyczką 400.000 koron przez kraj gwarantowaną i nową pożyczką szkolną w sumie 100.000 koron, mającą się zaciągnąć jużto u Rządu, już u Wydziału krajowego z funduszów na budowę szkół przeznaczonych, a oileby te pożyczki nie wystarczyły, to resztę przyrzekła pożyczyć gminie Galicyjska Kasa Oszczędności na 5% z amortyzacyi po dopełnieniu przez gminę pewnych bliżej określonych warunków.

O HONOR.

Szwadron 3-go pułku huzarów miał opuścić Tuluzę, oby się udać do Bordeaux. Wymarsz oznaczono na godzinę 5 rano. Stosownie do zwyczaju wszyscy oficerowie zebrali się wieczorem na ucztę pożegnalną. Wypito dużo, głowy płonąć zaczęły.

Młody hrabia de Bellemare, syn emigranta, niedawno ozdobiony szlifami oficerskiemi, wniósł zdrowie króla. Toast przyjęli z zapałem młodzi oficerowie, należący przeważnie do arystokracji, którzy otrzymali stopnie od Ludwika XVIII-go.

Ale pomiędzy starszymi znajdował się korsykańczyk, rotmistrz Vitalis, który po ostatnich bitwach za cesarstwa, pozostał w armji i zachował swój stopień przy Restauracji. Rotmistrz pełnił służbę gorliwie, ale prowadził życie samotne i rzadko kto widział go uśmiechniętym.

Rotmistrz wychylał kieliszek razem z innymi oficerami, lecz nerwowe zmarszczenie brwi wskazywało, że chętnie byłby się od tego wstrzymał. Ten ruch niedostrzegalny nie uszedł uwagi hrabiego de Bellemare, który nie znosił tego oficera napoleońskiego, ponurego i milczącego. Napełnił na nowo kieliszek i zawołał:

— Niech zginie uzurpator, potwór krwiożerczy, despota, który gnębił Francję i którego sprawiedliwie dotknęła ręka Boga!

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku rotmistrzowi Vitalisowi. Ten blady, z zaciśniętemi wargami, chwycił kieliszek, lecz w tej chwili szkło pękło w jego ręku i wino wylało się na podłogę.

Bellemare wściekły rzucił się na rotmistrza i uderzył go w twarz.

Vitalis schwycił młodego porucznika, rzucił o ziemię i już chciał go skopać nogami, lecz towarzysze przeszkodzili temu, uprowadzając porucznika z sali.

W tej chwili ułożono warunki spotkania. Pistolety — pietnaście kroków — strzał dowolny — na godzinę przed wymarszem.

Bellemare stawił się na mecie z pełną garścią wisien, które zajadał najspokojniej, bawiąc się rzucaniem pestek w górę. Swiadkowie wymienili pistolety, odmierzyli metę. Belleware bawił się tylko wiśniami. W chwili, gdy podano mu pistolet do ręki, uśmiechnął się, patrząc na ostatnią pestkę, którą rzucił w górę.

Po danym znaku Bellemare wystrzelił pierwszy. Kula zadrasnęła ramię rotmistrza. Vitalis uśmiechnął się.

— Panie — rzekł do porucznika — pan, zdaje się, nie dbasz wcale o życie, nie mam więc interesu pozbawiać pana istnienia, które jest ci obojętne.

— Strzelaj pan — rzekł Bellemare wyniośle — nie przyjmę łaski!

— Nie unoś się dumą, młodzieńcze! — odparł Korsykańczyk. Warunki brzmiały, że każdy może strzelać, kiedy zechce... Otóż ja — zachowuję swój strzał...

— Jak się panu podoba. Jestem zawsze na pańskie usługi...

— Spodziewam się tego,

— Na piętnaście kroków! dokończył Bellemare i wziął się znów do wisien.

Wkrótce dał się słyszeć dźwięk trąbki i szwadron wyruszył w drogę. Hrabia de Bellemare pojechał do Bordeaux, rotmistrz Vitalis pozostał w Tuluzie.

Minęło sześć lat od chwili niedokończonego pojedynku.

Witalis był ciągle jeszcze rotmistrzem, gdyż opinja zawziętego bonapartysty przeszkadzała mu do awansu. Stał teraz załogą w Perpignon, zawsze ponury i milczący.

Pewnego wieczoru, przy obiedzie, otrzymał list. Po przeczytaniu go, odetchnął z ulgą i ponura twarz się rozjaśniła. Nazajutrz wziął urlop i pojechał do Bordeaux.

Na drodze z Medoc do Blanquefor zarysował się piękny pałac współczesny, u którego stóp płynęła mała rzeczka Jalle, wpadająca do Garonny. Lipowa aleja prowadziła do pałacu, otoczonego jaśminami i różami.

W salonie parterowym znajdowało się kilka osób. Przy oknie siedziała młoda, zaledwie dwudziestokilkoletnia kobieta. Śliczny jej profil rysował się wyraźnie w półzmierzchu, na białe czoło kładł się srebrny promień księżyca, zaglądającego przez gałęzie akacji. Młoda kobieta słuchała z radością słów oficera, który, klęcząc prawie, szeptał jej coś do ucha.

Dwaj starsi panowie bawili się pogawędką, siedząc na kanapce. W drugim końcu salonu niemłody ksiądz rozmawiał ze starszą, pięćdziesięcioletnią damą, która trzymała na kolanach jasnowłosego trzechletniego chłopczyka.

Młoda kobieta była to margrabina de Mory, od roku owdowiała, w otoczeniu rodziców i małego synka. Młoda wdowa była obecnie narzeczoną hrabiego de Bellemare.

Nagle u kraty ogrodowej rozległ się głos dzwonka. Ogrodnik otworzył i ku pałacowi skierował się gość nowy, widocznie nieoczekiwany.

Gość zbliżył się do okna, przy którem siedzieli narzeczeni i zapytał szorstko:

— Hrabia de Bellemare?

— Vitalis! — zawołał zdumiony hrabia.

— Poznajesz mnie pan?

— Tak jest... poznaję... — mruknął Bellemare.

— Mamy do załatwienia dawny rachunek. — mówił dalej rotmistrz.

— Jestem do usług pańskich — rzekł hrabia i wyszedł do ogrodu.

— Dokąd pójdziemy? — zapytał Vitalis.

— Za ogród... na drogę, jeżeli się pan zgadzasz.

Szli obok siebie w milczeniu.

— Tutaj — rzekł hrabia.

Przed nimi ciągnęła się droga, jasno oświetlona światłem księżycowem.

— Na piętnaście kroków! — zakomenderował Vitalis.

Bellemare odliczył piętnaście kroków.

Nagle nadbiegła margrabina, blada, przerażona.

— Panie! — zawołała — odgaduję rzecz straszną... Na miłość boską, wysłuchaj mię! Nie wiesz pan, co chcesz uczynić!

— Odejdź Joanno, proszę cię — odezwał się Bellemare. Pan jest moim starym kolegą z pułku... mamy z sobą do pomówienia...

— Nie! Nie! — wołała margrabina — ja oszaleję... widzę cienie straszne... słyszę głosy w powietrzu... Panie, czy pan wiesz... Okłamywałam męża... kochałam Gastona... chciałam powiedzieć... pana de Bellamare... Mąż mój umierając, przebaczył mi, przysięgam!... Ale ja muszę zaślubić Gastona... słyszysz pan?... muszę, kocham go... a jeżeli on mnie nie zaślubi, będę kobietą zgubioną, a dziecko moje...

Młoda kobieta omdlała i padła na ziemię. Bellemare rzucił się do niej, lecz wstrzymał go zimny głos rotmistrza.

— Na piętnaście kroków! — zawołał, dobywając pistoletu.

Hrabia stanął ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma.

I przy świetle księżyca Korsykańczyk dostrzegł łzę, spływającą po policzku hrabiego.

— No i co? — zawołał szyderczo — teraz nie jesz pan wisien!?

Podniósł broń do oka i zmierzył do stojącego nieruchomo przeciwnika... Spojrzał raz jeszcze na leżącą wciąż nieprzytomną kobietę, szybkim ruchem wykręcił rękę, przyłożył lufę do swej skroni, wystrzelił i padł z roztrzaskaną czaszką.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré. Druk W. Korneckiego w Krakowie.